Nr. 1. DNIA 10-EGO STYCZNIA 1899. ROK III.

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
POŚWIĘCONY
LITERATURZE I SZTUCE.

WYCHODZI PIERWSZEGO I PIĘTNASTEGO KAŻDEGO MIESIĄCA.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW, UL. KARMELICKA 22.

B

NUMER 1. DNIA 10-EGO STYCZNIA 1899-EGO ROKU. ROK III.

TREŚĆ NRV 1-EGO

ST. PRZYBYSZEWSKI: CONFITEOR
ST. WYRZYKOWSKI: NA ATLANTYDZIE CIEMNOŚĆ
J. RODENBACH: Z »NOKTURNÓW«
K. BRZOZOWSKIEMU SYNOWIE STANISŁAW I WINCENTY
ST. PRZYBYSZEWSKI: ANDROGYNE
WŁADYSŁAW ORKAN: Z WICHRÓW
OLA HANSSON: EDGAR ALLAN POE
FR. NIETSCHE: Z »ALSO SPRACH ZARATHUSTRA«
WŁ. ORKAN: WRÓG BOGÓW
TADEUSZ MICIŃSKI: POŻEGNANIE
PRZEGLĄD PRZEGLĄDÓW
KRONIKA
ODPOWIEDZI REDAKCYI

ILVSTRACYE NRV 1-EGO

JÓZEF MECHOFER: »PORTRET« [A. KAMIŃSKI, ART. DRAM]
»ROZMOWA«
ST. WYSPIAŃSKI: »PORTRET«

ŻYCIE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY LITERATURZE I SZTUCE

SKŁAD REDAKCYI:
LITERATURA: STAN. PRZYBYSZEWSKI, STAN. WYRZYKOWSKI.
SZTUKA: STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

»ŻYCIE« WYCHODZI W KRAKOWIE PIERWSZEGO I PIĘTNASTEGO KAŻDEGO MIESIĄCA.
ABONAMENT KWARTALNY Z PRZESYŁKĄ ZŁR. 2·60, ROCZNY ZŁR. 10·40
PRZEDPŁATĘ PRZYJMUJE ADMINISTRACYA »ŻYCIA« UL. KARMELICKA 22 (OTWARTA CODZIENNIE OD 10—1 Z RANA, W NIEDZIELĘ OD 11—12)
KSIĘGARNIE I BIURA DZIENNIKÓW W GALICYI
W NIEMCZECH URZĘDY POCZTOWE, W WIEDNIU SKŁAD GŁ. W KSIĘGARNI FR. BONDEGO
CENA POJEDYNCZEGO NUMERU 50 CENTÓW
INSERATY JEDNORAZOWE WIERSZ 20 CENTÓW

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI: CONFITEOR.

Przystępując do rozwinięcia naszych pojęć o sztuce, uważamy za nie potrzebne sięgać do zdań estetyków, uważamy za zbyteczne zbijać różnorodne sądy i wyroki estetyczne, nie myślimy również, że wypowiadamy coś zupełnie nowego, ale stojąc na czele pisma, któremu się charakter nadaje, trzeba wytknąć zasadniczy kierunek, w jakim się pismo prowadzi.

Sztuka w naszem pojęciu nie jest ani »piękno«, ani »ein Theil der Erkenntniss«, jak ją Schopenhauer nazywa, nie uznajemy również żadnej z tych bezlicznych formułek, jakie estetycy stawiali, począwszy od Platona, aż do starczych niedorzeczności Tołstoja —

sztuka jest odtworzeniem tego, co jest wiecznem, niezależnem od wszelkich zmian lub przypadkowości, niezawisłem ani od czasu, ani od przestrzeni, a więc:

odtworzeniem istotności, t. j. duszy. I to duszy, czy się we wszechświecie, czy w ludzkości, czy w pojedyńczem indywiduum przejawia.

Sztuka zatem jest odtworzeniem życia duszy we wszystkich jej przejawach, niezależnie od tego, czy są dobre lub złe, brzydkie lub piękne.

To właśnie stanowi zasadniczy punkt naszej estetyki.

Sztuka wczorajsza była na usługach tak zwanej moralności. Nawet najpotężniejsi artyści z małymi wyjątkami nie byli w stanie śledzić przejawów duszy, oderwanych od tak zmiennych pojęć, jak pojęcia moralne lub społeczne; zawsze potrzebowali dla dzieł swych płaszczyka moralno-narodowego. Sztuka w naszem pojęciu nie zna przypadkowego rozklasyfikowania objawów duszy na dobre lub złe, nie zna żadnych zasad czy to moralnych, czy społecznych: dla artysty w naszem pojęciu są wszelkie przejawy duszy równomierne, nie zapatruje on się na ich wartość przypadkową, nie liczy się z ich przypadkowem złem lub dobrem oddziaływaniem, czy to na człowieka lub społeczeństwo, tylko odważa je wedle potęgi, z jaką się przejawiają.

A więc substrat naszej sztuki istnieje dla nas jedynie tylko ze strony swej energii, zupełnie niezależnie od tego, czy jest dobrem lub złem, pięknem czy brzydotą, czystością czy harmonią, rozpasaniem, zbrodnią, czy cnotą.

Artysta odtwarza zatem życie duszy we wszystkich przejawach; nic go nie obchodzą ani prawa społeczne ani etyczne, nie zna przypadkowych odgraniczeń, nazw i formułek, żadnych z tych koryt, odnóg i łożysk, w jakie społeczeństwo olbrzymi strumień duszy wepchnęło, go i osłabiło: Artysta zna tylko — powtarzam — potęgę, z jaką dusza na zewnątrz wybucha.

Sztuka jest objawieniem duszy we wszystkich jej stanach, śledzi ją na wszystkich drogach, wybiega za nią we wieczność i wszechprzestrzeń, wgłębia się z nią w praiły bytu i sięga w tęczowe szczyty.

Sztuka niema żadnego celu, jest celem sama w sobie, jest absolutem bo jest odbiciem absolutu — duszy.

A ponieważ jest absolutem, więc nie może być ujętą w żadne karby, nie może być na usługach jakiejśkolwiek idei, jest panią, praźródłem, z którego całe życie się wyłoniło.

Sztuka stoi nad życiem, wnika w istotę wszechrzeczy, czyta zwykłemu człowiekowi ukryte runy, obejmuje wszechrzecz od jednej wieczności do drugiej, nie zna ni granic, ni praw, zna tylko jedną odwieczną ciągłość i potęgę bytu duszy, kojarzy duszę człowieka z duszą wszechnatury, a duszę jednostki uważa za przejaw tamtej.

Sztuka tendencyjna, sztuka pouczająca, sztuka-rozrywka, sztuka-patryotyzm, sztuka, mająca jakiś cel moralny lub społeczny, przestaje być sztuką a staje się »biblia pauperum« dla ludzi, którzy nie umieją myśleć, lub są zbyt mało wykształceni, by módz przeczytać odnośne podręczniki — a dla takich ludzi potrzebni są nauczyciele wędrowni, a nie sztuka.

Działać na społeczeństwo pouczająco albo moralnie, rozbudzać w niem, patryotyzm lub społeczne instynkta za pomocą sztuki, znaczy poniżać ją, spychać z wyżyn absolutu do nędznej przypadkowości życia, a artysta, który to robi, niegodny jest miana artysty.

Sztuka demokratyczna, sztuka dla ludu, jeszcze niżej stoi. Sztuka dla ludu, to wstrętne i płaskie banalizowanie środków, jakimi się artysta posługuje, to plebejuszowskie udostępnienie tego, co z natury rzeczy jest trudno dostępnem.

Dla ludu chleba potrzeba nie sztuki, a jak będzie miał chleb, to sam sobie drogę znajdzie.

Zwlekać sztukę z jej piedestału, włóczyć ją po wszystkich rynkach i ulicach, to rzecz świętokradcza.

Tak pojęta sztuka staje się najwyższą religją, a kapłanem jej jest artysta. Jest on osobisty tylko wewnętrzną potęgą, z jaką stany duszy odtwarza, poza tem jest kosmiczną, metafizyczną siłą, przez jaką się absolut i wieczność przejawia.

Był on pierwszym prorokiem, który wszelką przyszłość odsłaniał, a tłomaczył runy zapleśniałej przeszłości, był magiem, co przenikał najgłębsze tajemnice, obejmował tajne związki wszechświatów, przeczuwał i odkrywał ich wzajemne na siebie działanie, a z wiedzy tej tworzył sobie moc, co gwiazdy na niebie w ich biegu zastanawiała, był wielkim mędrcem, który wiedział najtajniejsze przyczyny i tworzył nowe, nigdy nie przeczuwane syntezy: artysta ten, to »ipse philosophus, daemon, Deus et omnia«,

Artysta nie jest sługą ani kierownikiem, nie należy ani do narodu, ani do świata, nie służy żadnej idei ani żadnemu społeczeństwu.

Artysta stoi ponad życiem, ponad światem, jest Panem Panów, niekiełznany żadnem prawem, nieograniczany żadną siłą ludzką.

Jest on zarówno święty i czysty, czy odtwarza największe zbrodnie, odkrywa najwstrętniejsze brudy, gdy oczy w niebo wybija i światłość Boga przenika.

Bo nie zna on praw i ograniczeń, jakie objawy duszy ludzkiej w to lub owo koryto wpychają, zna on tylko jedynie potęgę tych przejawów, równie silną w cnocie czy w zbrodni, w rozpuście czy w skupieniu modlitwy.

Artysta, który chce pouczać »ubogich w duchu«, chce być ich kierownikiem, niechaj raczej zostanie agitatorem, albo założy olbrzymie falansterye, o jakich Fourier marzył, bo królestwo ubogich w duchu — to chleb, a nie sztuka.

Artysta, który nagina się do wymagań poszczególnego społeczeństwa, pochlebia mu, podaje mu przeżuty i lekki do strawienia obrok — (zapomniałem, że mówię o artyście, zacząłem mówić o pokornym wole roboczym).

Artysta, który pragnie poklasku, a skarży się na małe uznanie tłumu, stoi jeszcze w przedsionku sztuki, nie czuje się jeszcze panem, który łask nie żebrze, tylko hojną ręką je na tłum rzuca, i nie pragnie podzięki — tej pragnie tylko plebejusz, w duchu tej pragną tylko dorobkiewicze.

Artysta, który się skarży, że rozrzucając skarby swego ducha, kala swą duszę przez zetknięcie się z tłumem, przeszedł święty próg, ale się myli. Człowiek, nie uznający żadnych praw, stojący ponad tłumem, ponad światem, kalać się nie może.

Naród to cząstka wieczności, i w nim tkwią korzenie artysty, z niego z ziemi rodzinnej ciągnie artysta najżywotniejszą swą siłę. W narodzie tkwi artysta, ale nie w jego polityce, nie w jego zewnętrznych przemianach, tylko w tem, co jest w narodzie wiecznem: jego odrębności od wszystkich innych narodów, rzeczy niezmiennej i odwiecznej: rasie.

Dlatego jest głupią niedorzecznością zarzucać artyście w naszem pojęciu beznarodowość, bo w nim najsilniej przejawia się »istotny«, wewnętrzny duch narodu, on jest tym mistycznym Królem-Duchem, chwałą i wniebowstąpieniem narodu.

Niedorzecznością jest zarzucać artyście »mglistą mistyczność«. Sztuka w naszem pojęciu jest metafizyczną, tworzy nowe syntezy, dociera jądra wszechrzeczy, wnika we wszystkie tajnie i głębie — a są jeszcze ludzie dla których to jest mistyką (coś w kształcie spirytyzmu — he, he...).

I raz jeszcze powtarzam na wszystkie możliwe zarzuty, które nas spotkać mogą:

Nie znamy żadnych praw, ani moralnych, ani społecznych, nie znamy żadnych względów, każdy przejaw duszy jest dla nas czystym, świętym, głębią i tajemnicą, skoro jest potężny.

Kilka jeszcze szczegółów, dotyczących technicznej strony redakcyi.

Zamieniając »Życie« na dwutygodnik, nie zmieniliśmy warunków prenumeraty.

Współpracownicy nie mogą i nie powinni dawać za bezcen swoich utworów i wytwarzać w ten sposób niegodną i nieuczciwą konkurencję, a czytającą publiczność trzeba do tego przyzwyczaić, że może i powinna zapłacić za utwory literackie choćby tysiączną część tego, co płaci za obrazy, rzeźby lub teatr.

Staraniem naszem, ideałem redakcyjnym, będzie dawać tylko takie utwory, które zapłodnią czy to nową myślą, czy nową formą najmłodszą generacyę artystów, postawić pismo na takiej wyżynie, aby nikt nie potrze-

bował sięgać po informacye natury czysto artystycznej do innych pism. I aby to osięgnąć, związaliśmy z redakcyą naszą najwybitniejsze siły krytyczne za granicą, by pismo nasze nie dawało informacyi, jak to często w polskich pismach bywa, z dziesiątej ręki od ludzi mało, albo tylko powierzchownie z poszczególnemi literaturami obznajmionych, ale informacyj źródłowych od ludzi, którzy od lat całych literaturę śledzą i w niej żyją.

Usunęliśmy dział społeczny. Był on zawsze z natury rzeczy balastem, bo kwestyj społecznych nie rozwiązuje się kilku artykułami, a przytem zatraca się charakter pisma, bo dział społeczny, redagowany przez kogokolwiekbądź zawsze jest stronnym i stał dotychczas w jaskrawej sprzeczności z działem artystycznym.

A nkszym ideałem jest pismo jednolite, bezwzględne, nie wahające się ani na jedną, ani na drugą stronę.

Zresztą sądzimy, że usunięcie tego działu nikomu przykrości nie sprawi, bo dla ludzi, poważnie sprawy społeczne traktujących, dział ten tak czy tak zupełnie nie wystarczał, i tak czy tak byli zmuszeni sięgać do innych pism, a »Życie« nie chce być organem dla ludzi leniwych, chcących się oryentować pobieżnymi artykułami.

Taka popularyzacya poważnej nauki przynosi według doświadczeń jak najgorsze rezultaty.

To jest nasze wyznanie wiary.

Pismo nasze nie jest przyznaczone dla tych, którzy w sztuce szukają pożytku mydlarza, co po całotygodniowej pracy szuka w niedzielę rozrywki i zbudowania w dziele artysty — a ile, ile tysięcy mamy tych mydlarzy — nie przyznaczone dla dzieci i ludzi, chorujących na uwiąd starczy— ani dla ludzi, nie umiejących czytać,

ale dla artystów — niestety tak ich mało — i dla ludzi, dla których sztuka sama w sobie jest celem.

I w nadziei, że w narodzie, posiadającym tak wysoką kulturę, tak piękną a królewską tradycyą, znajdzie się tysiąc wytwornej arystokracyi ducha, szukającej w sztuce czegoś innego, jak spopularyzowanego podręcznika historyi lub wykładów z dziedziny społecznej i etycznej, w tej melancholijnej i pełnej rezygnacyi nadziei, rozpoczynamy trzeci rocznik »Życia«.

Śpiewano nam msze żałobne od samego początku, »Życie« pogrześć się nie dało, a dziś silniejsze niż kiedykolwiek, materyalnie zabezpieczone, będzie nadal pielęgnowało święty Znicz Sztuki dla Sztuki.

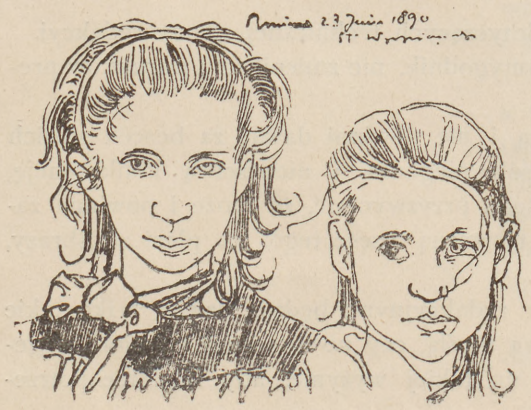

NA ATLANTYDZIE.

WIEM — JEST JESZCZE NIEODKRYTA ZIEMIA.
TAM, NAD BRZEGAMI W NIESKOŃCZONOŚĆ I W BŁĘKIT IDĄCEGO MORZA, MIESZKA NIEŚMIERTELNA, PIĘKNA, DUMNA, O CZARNYCH OCZACH KOBIETA.
TA KOBIETA JEST MOJĄ. MOJĄ BYŁA, NIM ŚWIATY ZACZĘŁY ISTNIEĆ.
OBOK NIEJ PRZECHODZIŁY WIEKI I POKOLENIA, A ONA NIKOMU NIE PADŁA W RAMIONA, BO WIE, ŻE JEST MOJĄ.
I GDYBYM TAM PRZYBYŁ, POŁOŻYŁABY MI RĘKĘ NA CZOLE I USTA NA USTACH I RZEKŁABY: JAM TWOJA.
— ZOSTAŃ ZE MNĄ. BĘDĘ CI ŚPIEWAĆ PIEŚNI, JAKICH JESZCZE NIE SŁYSZAŁEŚ, DAM CI NIEŚMIERTELNOŚĆ MIŁOŚCI I NIEŚMIERTELNOŚĆ MYŚLI, WIECZYSTĄ MŁODOŚĆ I WIECZYSTĄ CISZĘ.
I ZAMIESZKAŁBYM Z NIĄ NAD BRZEGAMI W NIESKOŃCZONOŚĆ I W BŁĘKIT IDĄCEGO MORZA— LECZ JA TEJ ZIEMI NIGDY NIE ODKRYJĘ.

CIEMNOŚĆ.

CIEMNOŚĆ MNIE POCHŁONIE. CZUJĘ TO.
— A ZNAM JĄ OD BARDZO DAWNA. ROSŁA WRAZ ZE MNĄ, STAŁA U KOLEBKI MEGO DZIECIŃSTWA I WYPEŁNIAŁA MI DUSZĘ W MŁODOŚCI. CZASEM BYŁA DOBRA, CICHA, LITOSNA JAK MIŁOŚĆ LUB ŚMIERĆ. CZASEM JAK WAMPIR WYPIJAŁA MI USTA I WYSYSAŁA SERCE. NIEKIEDY JAK PIES LIZAŁA MI RĘCE I STOPY.
I BYŁA SKRZYDŁEM MYCH RAMION I CIĘŻKĄ, OŁOWIANĄ KULĄ ZNUŻONEJ STOPY.
LECZ NIE ROZSTAWAŁA SIĘ NIGDY ZE MNĄ. TERAZ CZUJĘ JĄ CORAZ BLIŻEJ I CORAZ LEPIEJ. NIE ROBI MI NIC ZŁEGO, TYLKO W POSĘPNE NOCE WYJE I ŁKA W DUSZY JAK JESIENNY WICHER W POŁAMANYCH KRZYŻACH WIEJSKICH CMĘTARZY.
LECZ PRZYJDZIE BLADYCH PRZERAŻEŃ GODZINA. WTEDY ROZSZARPIE MNIE JAK MENADA I ZABIERZE CAŁKIEM JAKO WŁASNOŚĆ SWOJĄ I RZECZ.
CIEMNOŚĆ MNIE POCHŁONIE. BOJĘ SIĘ JEJ, LECZ WIEM, ŻE DO NIEJ NALEŻĘ.

Stanisław Wyrzykowski.

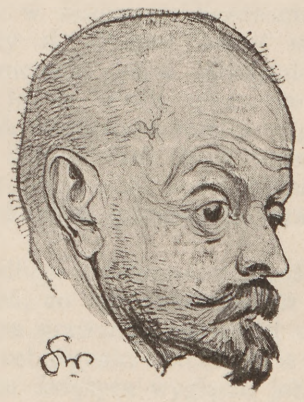

»PORTRET«. RYS. ST. WYSPIAŃSKI.

Z »NOKTURNÓW« JERZEGO RODENBACHA.

IM CZĘŚCIEJ MYŚLĄ DUSZA W PRÓŻNIĘ ŻYCIA WCHODZI,
WIDZI, JAK SNY SPADAJĄ W NICOŚCI GŁĘBINY:
NIC BEZMIERNEJ TĘSKNOTY SMUTKU NIE ŁAGODZI
I NIC NIE POCIESZA STOSKANEJ GODZINY!

WIECZNIE ZNANE JUŻ BRZEGI, NIEZMIENNE PEJSAŻE,
BIEGI WÓD ZAMYŚLONYCH, KĘDY ŁABĘDŹ PŁYNIE —
I ŻADNA NIESPODZIANKA — WCIĄŻ TE SAME TWARZE,
NIE DAJĄCE DŹWIĘKU NOWEGO GODZINIE!

I ZAWSZE, Z POWOLNOŚCIĄ, PODOBNĄ DO SŁOTY
PŁACZĄCEJ W DNI JESIENNE — GDZIE PRZEDMIEŚCIA SINE,
JAKIŚ MŁYN, POWOLNYMI SWYCH SKRZYDEŁ OBROTY,
KRĄŻY BEZUSTANNIE I MIELE GODZINĘ!

przełożył Wincenty Brzozowski.

KAROLOWI BRZOZOWSKIEMU, SYNOWIE STANISŁAW I WINCENTY.

NOWYCH SWIATÓW ODKRYWCY, NIESPOKOJNI GOŃCE,
ŚCIGAJĄCY SWYM WZROKIEM HESPERYD OGRODY,
ZWIŃCIE ŻAGLE JUŻ WZDĘTE! NA NIEPEWNE WODY,
— O ŻEGLARZE, — WSTRZYMAJCIE KORABIE PŁYNĄCE.

BŁOGOSŁAWIĆ TU PRZYSZEDŁ WASZEJ DROGI KOŃCE
BOSKI STARZEC, ULISSES I SYNDBAD. — ZACHODY,
WSCHODY, PÓŁNOC, POŁUDNIE, LĄDY I NARODY
WSZYSTKIE WIDZIAŁ, I POZNAŁ, NA CO PATRZY SŁOŃCE.

CHODŹCIE; W SERCU POMIEŚCIŁ, JAK W CEDROWEJ SKRZYNI,
DROGIE SKARBY MĄDROŚCI, (ŻYWE I ŚMIERTELNE)
— Z LICHYM MÓWIŁ ROBAKIEM I Z BOGIEM W PUSTYNI.

CHODŹCIE ZACZERPNĄĆ SŁODYCZ Z PRAC JEGO STULECIA,
ALBOWIEM JEGO MYŚLI, ZŁOTE ROJE PSZCZELNE,
ZEBRAŁY DLA WAS MIODY Z WSZELKICH ZIÓŁ I KWIECIA.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.
ANDROGYNE.

Książę stał przy oknie Alcazaru i patrzał na swoje miasto, miasto, które ukochał, które przez wszystkie jego sny prześwietlało, wyrastało do niesłychanych potęg, napełniało go grozą i strachem, to znów niewypowiedzianą rozkoszą, miasto, które mu ojcowie jego przed tysiącem lat zbudowali.

Była noc księżycowa, a w upiornem świetle straszyły dziwaczne kształty i kontury miasta, co się dziwnie połamaną płaszczyzną dachów u stóp jego rozścieliło.

Zdawało się, że ziemia się zatrzęsła, gładki skalisty płaskowyż się połamał i pogiął, olbrzymie skalne złomy się poprzesuwały, wepchnęły się w siebie i spaczyły.

I rzeczywiście było miasto zbudowane na dziwnie ukształtowanym terenie skalnym.

Był on niby miniaturowy łańcuch gór z tysiącem szczytów, dolin, zrębów, złamów, a na najwyższym szczycie, wybiegającym wysoko głaźnym stokiem, stał pałac książęcy, świetny, odwieczny Alcazar maurytański.

Książę patrzał długo na miasto u stóp swych. I widział, tysiące ostrych, czarnych, dziwnie poplątanych konturów ulic, które olbrzymi teren dachów krajały w dziwaczny rysunek.

Cała ta biała płaszczyzna dachów wyglądała jak gdyby święty a tajemniczy ornament, złożony z mistycznych arabesków. A wyglądało to, jakby ręka potężnego maga wyrąbała w białej powierzchni potężnej skały święte runy najgłębszych swych tajemnic.

Z wyżyny Alcazaru wyglądało miasto, jak gdyby nie było budowane, ale w kamieniu wydrążone.

Jak gdyby nieprzeliczone szeregi chrześcijańskich niewolników wyrąbywały przez lat dziesiątki ganki i kanały według mistycznych planów i symbolów na białej płaszczyźnie nakreślonych, wytworzyły tysiące powikłanych, ze sobą splątanych, tysiąckrotnie krzyżujących się ulic, potem ściany dwóch przedzielonych kanałów pocięły na domy i pałace, ściany te powydrążały, we wydrążeniach wybiły okna i drzwi, ściany tych wydrążeń pokryły łupkiem i tak powstało miasto.

Przed oczyma księcia rozścielało się miasto gdyby straszny, olbrzymi grób katakomb, opanowany Alcazarem, co wyniośle, poważnie i surowo smukłemi wieżycami wystrzelał w niebo ponad miastem.

Dreszcz przeszedł mrowiem przez księcia, kiedy pomyślał, że zstąpi do tych katakumb. Znał wprawdzie wszystkie zaułki, wszystkie ulice i uliczki, znał ich skręty i sploty, ich krzyżowania i splątania, wiedział, że nie mógłby się w tej zawikłanej sieci ulic zagubić a pomimo tego uczuwał za każdą razą tę samą tajemną grozę i przestrach, że mógłby się zabłąkać, lata całe błądzić w tym labiryncie i nigdy już z niego nie wyjść.

A nie było nikogo, ktoby mu mógł pokazać drogę, bo miasto było martwe.

A straszne to w tych bezsłonecznych wilgnych kanałach, tych tajemniczych uliczkach, przez które nigdy jeszcze żaden wóz nie przejechał, zaledwie że muł mógłby się przez nie przepchać.

Już od najrychlejszej młodości przejmowało księcia to miasto trwogą i strachem. Straszne sny przeżył w nim, całe lat tysiące spłynęły przez jego duszę, straszyły i przerażały go, otwierały w nim bezdenne czeluście, zrobiły go samotnym, nieprzystępnym i milczącym.

Pamiętał sen, który dziś jeszcze prężył go kurczem strachu.

Dostał się naraz w ten poplątany kłębek uliczek.

Błądził długo, aż stanął naraz na rozstaju całej setki ulic. Patrzał bezradny w te ciemne bezliczne kanały, które się przed nim roztwierały, zdawały się pochodzić z jakiegoś mistycznego obwodu i spływać w punkcie osiowym, na którym stał.

I naraz widzi, jak się kanały zaludniają, jak się przez te bezliczne ganki leją potworne strumienie cielsk ludzkich. To już nie ludzie ale straszliwe torsy, kawały, bezkształtne masy ciał. Święty ogień poodgryzał ręce i nogi, poprzepalał ciało, tak, że w strasznych ochłapach od kości odpadło, głowy się chwiały na porozluźnianych kręgosłupach, szczęki obwisły, a z szeroko porozdziawianych jam ustnych, wisiały krwawe, spalone, bełkoczące języki, jak potwornie opuchłe pałki słupkowe syfilitycznych orchidei.

Chciał uciekać, ale wszystkie ulice były zapchane temi gnijącemi, trędowatemi cielskami, cały ten potworny strumień gnijącego mięsa zwalał się coraz bliżej, coraz straszniej, podrzucał się w górę w dzikich podrywach, skłębiał, przewracał i przewijał się, a z tej zgrai ludzkiej, z tego bruku z gnijącego mięsa podskakiwały w górę straszliwe, krzyczące, grożące pięście...

Książę drżał jak we febrze — krzyknął — nie mógł myśleć dłużej...

I znowu jął patrzeć na miasto, na wściekły strumień, co w kształcie pętlicy, lub świętej jakiejś Omegi, wrzał i pienił się wokół miasta.

Głęboko w skalistych bezdnach ciskał się z jednej katarakty do drugiej, kłębił się w wirowatych zatorach i odmętach, zlewał olbrzymie spienione wód kłęby, rzucał je na iglaste głazy, co ostrym grzebieniem z łożyska sterczały, staczał je w głębokie szczeliny raf, co się w dzikich linijach w granitowy brzeg wcinały, gotował się, pienił, wył i pędził, huczał w piekielnym niepokoju w spienionych wirach i rozhukanych tryśćcach.

Patrzał długo z namiętną jakąś cześcią na ten święty strumień, co cały łańcuch gór porozrywał, cały zasiek kamienia przerznął, wysadził olbrzymie kolosy skał, wykopał sobie ganki i otchłanie w głazach z granitu.

W blasku księżyca wyglądał jakby strumień stopionych promieni księżycowych, a tam gdzie w niezliczonych wodospadach zlewał się w podziemne kanały w granicie wyżłobione, zdawał się ciskać kaskady zamrożonych stalaktytów światła księżycowego.

W tej chwili czuł się książę szczęśliwym.

Zatamował oddech, wyprężył się w górę, rozwarł swoje ramiona i chciwie ssał oczyma upiorny cud.

I zwolna opadał ze sił, zdjęła go jakaś niewysłowiona tęsknota, jakaś miękka, a rozkoszna niemoc, osunął się na ziemię i patrzał błędnym wzrokiem przed siebie.

Stało się coś niepojętego...

Był sam, odcięty od całego świata, gdzieś w pośrodku oceanu, na wyspie, co olbrzymiemi złomami bazaltu ciężko i szeroko na morzu osiadła.

Właściwie był to tylko jeden przepotężny słup bazaltu, w tysiąc kątów połamany wielobok, którego linie ścienne zlewały się w morze gdyby fałdy ciężkiego adamaszku, spływające z katafalku.

I widział morze wokół wyspy w czasie przypływu. Fale pieniły się, tryszcząc i buchając zziajane, podrzucały się w skłębionych zawrotach i wlewały się na płaskowyż wyspy.

Pomiędzy wyspą a skalistemi rafami, co potwornym wieńcem wyspę okoliły, szalało morze, wypływało, zawracało i gotowało się w wirach i malstromach, na białą pianę zbite wód roztocza skraplały się w górze, wciąż od nowa podrzucane wściekłą siłą. Jak gdyby się roztworzył krater podmorskiego wulkanu i ciskał w górę wiry i kłęby w miazgę zbitej piany.

Książę z roskoszą patrzał na te zaciekłe zapasy wód, co z jednej i drugiej strony pomiędzy wyspą a długą ławą skał, wichrem i szałem na siebie się rzucały. Z jednej i drugiej strony lały się olbrzymie bałwany, ścierały się w środku wąskiego przesmyku, podlatywały w górę, to znowu zwalały się w przepastne leje, szalały, wirowały wokół siebie, gdyby płynne ognie gotujących się słońc, rozpryskiwały się wokół gdyby popękane pierścienie planet — ale już lały się z jednej i drugiej strony straszliwe potopy nowych odmętów, przewalały się przez walczące bałwany; coraz nowe, coraz straszliwsze huragany rzucały się w przesmyk: całe morze szalało. Z za widnokręgów wzdęło się morze w straszliwej potędze, wzniosło się w niebo, opadło, i jeszcze silniej się w górę zerwało; wokół wyspy wzrastał w niebios stropy wał trąb morskich, wyżej jeszcze, wyżej. Morze się na niebie sklepiło, tryszcząc zawiejami, śnieżną wichrzycą piany—teraz znów ocean gdyby kopuła straszliwych chmur zwisło nad wyspą, ale wnet złamała się siła, co topiel od dna oderwała, pękła kopuła wód i z hukiem spadających światów oberwały się ich chmury, spadły na dno, wyskoczyły gajzerami w niebo, opadły znowu, przewaliły się potopem przez wyspę, zlały się — i cisza zapanowała.

I naraz ujrzał książę swoje miasto i z wzrastającym zdumieniem patrzał na nowy cud.

To było jego miasto, ale inne, nie z tego świata.

Od stóp Alcazaru wiły się ponad białymi dachami ulic olbrzymie pnie winnych latorośli. Wyrastały z fundamentów Alcazaru, rozrastały się nad całem miastem, pokryły wszystkie ulice, rozgałęziały się w olbrzymiem bogactwie, a całe miasto wydawało się jedną czarowną winnicą.

Pnie były z bronzu, liście z delikatnej blachy miedzianej, grona winne z ciemno niebieskiego kamienia. I jak daleko oko sięgało wiły się w splątanych lianach bajeczne winorośla, na białych dachach krzemiennych rozlały się powodzią barw i tęczy miedziane liście i niebieskie grona, a ponadtem krzyczało niebo wściekłe Te-Deum światła, słońca i żaru.

Książe przymknął oczy, bo nie mógł znieść tych blasków i żarów, ale wrażenie zbiegło aż do tajemnych węzłów nerwowych, spłynęło z powrotem do mózgu i naraz usłyszał przeraźliwą symfonię grzmiących trąb, krzyczących fagotów, wyjących basów, piszczących skrzypiec: głowa mu pękała i przerażony uciekał przez cały las kolumn, krył się w najskrytsze głębie swego pałacu i padał nawpół martwy na ciężkich, miękkich kobiercach.

Nieskończona błogość przenikała jego ciało.

Z dawno nieznaną rozkoszą patrzył przed siebie.

Sala była niezmierna, olbrzymia aleja filarów zamykała się gdzieś w dalekiej oddali i tworzyła wąską szczelinę, przez którą się zwolna, leniwo i jakby obumarłe, przedzierało światło.

W tym świetle półświtów, skojarzonych z półzmrokiem, w tej miękkiej roztoczy barw i woni, w tem cichem jaśnieniu czerwonych porfirowych kolumn, kojonem niebieskawym oddechem bazaltowej posadzki i ciemnym akordem sufitu z drzewa cedrowego, przeżywał książę swe najszczęśliwsze chwile.

Wyczerpany nagłym skokiem od najwścieklejszej chuci życia i słońca do sennej ciszy półzmroku, leżał, dumał i marzył o potężnych tworach baktryjskich królów, o czarownych pałacach w Suzie, o wiszących ogrodach Semiramidy, przeżywał, kosztował z lubieżną rozkoszą przepychu i piękna wszystkich światów i wieków, zapomniał o sobie, nie czuł siebie, nie był już ograniczony ni czasem, ni przestrzenią — w jednej minucie spłynęły przez jego duszę wieki całe, wszystkie ich kultury i ich zdarzenia przesuwały się w olbrzymiej panoramie przed jego nieśmiertelnem okiem, stawał się wiecznością, w którego łonie wszystko pospół spoczywa.

A jednego razu uczuł, że nadeszła jego godzina.

Wieczór zlewał się na świat; czerwień porfiru lśniła ciemnym blaskiem drzewa hebanowego, święte krowy kapitelów zlały się w bezkształtne cielska, światło, co wązką szczeliną kolumn alei wpływało, gasło, cichło, drżało gdyby płomień gasnącej pochodni.

W tej świętej chwili powstał książę i zwolna, z wysoko wzniesioną głową, jak gdyby dźwigał mitrę zdobywcy świata całego, przeszedł przez las kolumn, stanął na granitowym terasie swego Alcazaru; dusza jego wyłoniła się z pęt ciała i świętą łaską rozlała się nad miastem i oceanem w bezbrzeżnem szczęściu.

Liść miedziany pociemniał w głębokiej, tęsknej patynie, niebieskie grona zwieszały się czarną, zmęczoną plamą na ciemną zieloność liści, a białe dachy gasły i stygły — I była to jakby cicha modlitwa z marzeń i snów zwita, tęskna, daleka pieśń gęśli jego niewolnic.

A w gasnącej powodzi światła i barw tęczy, w martwej ciszy miasta katakomb, uczuł wreszcie książę, że jest sam jedyny na całym świecie, gdzieś na obcej, miliony mil odległej gwieździe, zapomniał, że jest jeszcze ktoś prócz niego na świecie.

Był sam.

Zciemniało. Zastygły cuda na niebie, i ciemna noc opadła ciężkim kirem na miasto.

A dusza księcia drżała, błądziła, jak ptak przed burzą w strasznym niepokoju, bo czuła, że nadchodzi wielki cud, że przepaście się otwierają, że już blisko chwila, w której dusza wszelkie tajnie przenika i w przepych własnej nagości patrzy.

A było jakby się ze wszech stron przestrzeń ścieśniała, ku niemu się zbliżała, jakby linie i kontury się od miasta odrywały, w nowe kształty się przetwarzać jęły, ciemność zdała się pogłębić jeszcze, stała się ciałem, zbliżała się coraz bliżej — coraz bliżej, a naraz pękły czarne opony nocy i stało się światło, dziwne światło: jaśniejące tchnienie woni letnich nocy, zimny, jednostajny odbłysk ukrytych światów — stało się światło, jakie się tworzy przez refleksy metalicznych źwierciadeł, wewnętrzne światło, światło duszy wszechnatury

I w tem bezświetlnem jaśnieniu widział, jak zwolna wstępowała na teras jego pałacu — Ona, Duch święty jego bytu odwiecznego, On—Ona.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z WIRCHÓW.

I.

Z WIRCHÓW SPOGLĄDAM W DAL... PODEMNĄ SIOŁA,
MIASTA I ZAMKI LEGŁY, JAK MROWISKA...
PRZELATAM MYŚLĄ GROMADNE SIEDLISKA,
WIDZĘ — PRZEDEMNĄ ŚWIAT PONIŻYŁ CZOŁA...

SKARLAŁO WSZYSTKO — ZMALAŁO DOKOŁA,
SZAROŚĆ OBSIADŁA POLA, ŁANY, RŻYSKA...
ZIEMIA SPI — BLADO DO SŁOŃCA POŁYSKA
ŚWIAT MARTWY — NIC MIĘ NA CMENTARZ NIE WOŁA,

I ECHO GWARU Z DOŁU NIE DOLATA.
CZUJĘ, JAKGDYBYM ODCHODZIŁ OD ŚWIATA
W KRAJ ORLI, WŁASNY, OD NIŻÓW, OD LUDZI...

I W DUSZY MOJEJ DZIWNY ŻAL SIĘ BUDZI,
ŻEM SŁUCHAŁ KIEDYŚ ICH PUSTYCH WIDOWISK,
ŻEM BYŁ MALEŃKĄ MRÓWKĄ WŚRÓD TYCH MROWISK...

II.

ZE SZCZYTU PATRZĘ W DAL... I DZIWNIE DUMNY
PRZEBIEGAM OKIEM ZMIENNE KRAJOBRAZY...
PODEMNĄ SIADŁY NIZINNE UPŁAZY
I LEGŁ ŚWIAT CAŁY GWARLIWY I TŁUMNY -

ZNIŻYŁ SIĘ W DOLE I ZAPADŁ... LOT SZUMNY
ECHEM SIĘ W GÓRACH ODBIJE STO RAZY,
A NIE DOLECI ZAPADŁEJ OAZY,
NA KTÓRĄ PATRZĘ SPOKOJNY I DUMNY...

I TAKĄ CZUJĘ TRWOGĘ DO POWROTU —
I TAKĄ BOJAŹŃ SZAREJ, PROSTEJ TRUMNY —
A TAKĄ ROZKOSZ PODNIEBNEGO LOTU —

ŻE CHOĆBY Z WIRCHÓW UPAŚĆ OD ZAWROTU,
CIAŁO ROZTRZASKAĆ O GŁAZY-KOLUMNY
I SKONAĆ — SKONAM SPOKOJNY I DUMNY,

Władysław Orkan.

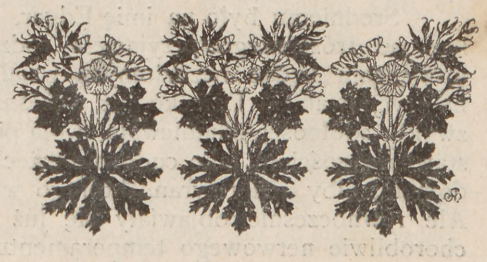

OLA HANSSON: EDGAR ALLAN POE.

II.

Pewnego dnia w roku 1833 jedno z czasopism baltimorskich ogłosiło konkurs literacki i wyznaczyło dwie nagrody, jednę za najlepszy poemat, drugą za najlepszą nowelę. Wśród całej powodzi utworów, które nadesłano do redakcyi, znajdował się zadziwiająco wyraźnym i pięknym charakterem zapisany rękopis, któremu cały komitet konkursowy jednogłośnie przyznał obie nagrody. Autorem obu utworów okazał się E. A. Poe.

Nazwisko to było komitetowi zupełnie nieznane. Dziwne jednak przymioty utworów, ich dzika fantazya i szczególna piękność tak dalece zaciekawiły członków komitetu, że zapragnęli poznać bliżej ich autora: w końcu jeden z nich, jakiś pan Kennedy, wysłał do Poego zaproszenie, na które otrzymał następującą odpowiedź: »Zaproszenie Pana sprawiło mi niezmierną przykrość. Nie mogę przyjść na obiad z powodów bardzo upokarzających — z powodu mojego zewnętrznego wyglądu. Wyobraża Pan sobie zapewne, z jaką przykrością się do tego przyznaję, ale zmuszają mnie do tego okoliczności«. Pan Kennedy z największym pośpiechem odszukał biednego autora listu i znalazł się wobec młodego człowieka, który był bliski śmierci głodowej.

A młody ten człowiek wszechstronnie i dokładnie zapoznał się już z życiem. Edgar Allan Poe urodził się 13 stycznia 1809 w Bostonie. Pochodził ze starego szlacheckiego rodu normandzkiego, który za czasów Henryka II przesiedlił się do Irlandyi. Pierwotnie nazwisko rodziny opiewało Le Poer, albo też De la Poer; z biegiem czasu i w miarę jak ród się rozgałęział, zaczęto pisać to nazwisko w rozmaity sposób. Już o praojcu opowiada stary kronikarz, iż »niema dzielniejszego męża nad Rogera la Poer«; i taksamo brzmią wspomnienia irlandzkie o jego potomkach. Była to rasa, która odznaczała się zuchwałością i zaciętym uporem, czynami bohaterskimi i romantycznemi przygodami. Była wyposażona jednym z owych temperamentów, które nigdy nie mogą pogodzić się z przeciętną mądrością tego świata. Odróżniali się od wielkiego tłumu, wznosili się ponad ogół w dobrem i w złem, w zbrodniach i wspaniałych czynach, górowali chorobliwie subtelnem szlachectwem charakteru i jego dziwacznemi zboczeniami. Była to ekscentryczna rasa; a pełna trwogi mistyka, która osłania ostatnią i najsławniejszą jej odrośl, przewija się przez jej dzieje niby mroczna tajemnicza postać z zakrytem obliczem, niby cień bezcielesny, wielki, olbrzymi jak w noc księżycową.

Dziad poety przeniósł się do Ameryki. Brał żywy współudział w walkach o wolność i doszedł nawet do znaczniejszego stopnia wojskowego. Najstarszy jego syn, Dawid, ojciec poety, jako ośmnastoletni student ożenił się z piękną i znakomicie utalentowaną aktorką, Elżbietą Arnold, którą uwiódł z domu. Odepchnięty przez rodzinę, poprobował trochę aktorstwa, ale nie z wielkiem powodzeniem. Wprawdzie wkrótce pojednał się z rodziną i znowu u niej z żoną zamieszkał, ale po niedługim czasie oboje umarli, pozostawiając troje niezaopatrzonych dzieci.

Średniemu było na imię Edgar, drugie imię otrzymał od troskliwego przyjaciela rodziny, pana Allana, który, sam będąc bezdzietnym, wziął do siebie sierotę na wychowanie. Dziecko już wcześnie okazywało niezwykłe zdolności, zdumiewało swoją pięknością, a przedstawiane gościom jako cudowne dziecko, władało całym domem, niby mały tyran, którego wola była prawem. Ale równocześnie objawiały się już symptomaty jego chorobliwie nerwowego temperamentu.

W roku 1816 rodzina Allanów wyjechała z wychowankiem swoim do Anglii i tam umieściła go w jednym z najznakomitszych zakładów wychowawczych. Tam spędził cztery czy pięć lat, wśród cichego, jednostajnego życia szkolnego, które opisał potem w »Williamie Wilsonie«. Tam zdobył podstawy dla swego niezwykłego klasycznego wykształcenia.

W roku 1821 powrócił do Ameryki. Z początku studyował przez czas jakiś na uniwersytecie w Richmond. Znajomi jego zgodnie podnoszą w swoich ocenach niezwykłe jego bogactwo wiedzy, jego energię i piękność, ale we wszystkich tych sądach najbardziej plastycznie uwidacznia się zmienna i jak mimoza wrażliwa jego natura. Stosunek jego do opiekuna nie musiał być bardzo serdecznym, bo młody Poe szukał gdzieindziej zaspokojenia dla swego gorącego, nienormalnego prawie pragnienia sympatyi i miłości. Uciekał od kolegów, którzy go wyśmiewali i wyszydzali, i szukał schronienia u niemej braci. Tak stał się miłośnikiem zwierząt, które otaczał swoją miłością i opieką aż do śmierci. Przyjaciółka jego z późniejszych lat, pani Whitman, opowiada z owego czasu małą anegdotkę, która jasne rzuca światło na wrażliwość Poego. »Pewnego razu odprowadził do domu jednego z kolegów, u którego poraz pierwszy poznał panią H. S., matkę swego młodego przyjaciela. Kiedy wszedł do pokoju, pani H. S. ujęła go za rękę i przywitała go kilku uprzejmemi słowy; słowa te tak głęboko wryły się w miękkie serce osieroconego chłopca, że nie mógł słowa wydobyć z zaciśniętego gardła i nawet stracił na chwilę przytomność. Jakby we śnie powrócił do domu, unosząc ze sobą jedną jedyną myśl, jedną jedyną nadzieję na dalsze życie: żeby jeszcze raz mógł usłyszeć te ciepłe, przyjazne słowa, które upiększyły mu ten smutny świat i samotne jego serce napełniły nową, przygniatającą radością«. Pani Whitman utrzymuje, że wspomnienie owej pani wpłynęło na całe następne życie Poego i było niezawodnie ważnym czynnikiem w jego twórczości.

Kiedy Byron podążył do Grecyi, aby walczyć w szeregach uciśnionego narodu, wzbudził swoim przykładem w piersiach wielu młodych starego i nowego świata niezwykły zapał. Poe był jednym z tych, którym czyn Byrona przyświecał niby słup ognisty na pustyni. W roku 1827 opuścił Amerykę i po dwóch latach dopiero powrócił do kraju. Czy wogóle był w Grecyi, gdzie przez ten czas przebywał, co robił, jakie przechodził koleje — o tem nie wiemy nic. Poe sam nigdy w tym kierunku nie chciał dać żadnego wyjaśnienia.

Po powrocie oddał go opiekun do szkoły wojskowej. Nietrudno odgadnąć rezultat tego eksperymentu. Dyscyplina wojskowa i jego gwałtowna natura artystyczna przystawały do siebie jak ogień i woda. Nie dziw więc, że w roku 1831 wydalono go ze »służby Stanów Zjednoczonych« dla licznych przekroczeń obowiązków i nieposłuszeństwa względem wydanych rozkazów.

I znowu powrócił do domu. Tu zaszły tymczasem wielkie zmiany. Opiekunka jego umarła, a pan Allan ożenił się po raz drugi. Poe zerwał z opiekunem i znowu poszedł w świat daleki. Długo przemyśliwał nad tem, aby raz jeszcze pojechać do Europy i pomódz polskim powstańcom, ale planu tego nie wykonał. W następnych latach zajmował się prawdopodobnie dziennikarstwem; znany już był jako autor zbioru poezyj. Napewno nie można nic powiedzieć o jego życiu do chwili zwycięstwa na konkursie literackim w Baltimore, a położenie, w jakiem go zastał pan Kennedy, świadczy wymownie o tej »walce o byt«, która niezawodnie wypełniła owe dwa nieznane nam lata.

Tymczasem Poe już na stałe związał się z literaturą, którą obrał jako zawód i źródło zarobku. Z początku otrzymał posadę współredaktora w jakiejś gazecie w Richmond, a ekonomiczne jego położenie zmie-

niło się o tyle na lepsze, że miał przynajmniej teraz chleb codzienny. W czasie swego pobytu w Richmond ożenił się Poe ze swoją siostrą cioteczną, Virginią Clem. Była bardzo młoda, ale silnie już dotknięta rodzinną chorobą piersiową, a piękność jej była chorym blaskiem hektycznej kobiety, która ze swą przejrzystą, białą płcią i głębokiemi promiennemi oczami madonny jakby unosiła się ponad ziemią ku niebu. Młoda para żyła razem z panią Clemm w jednem domostwie, któremu brakło wszystkiego, prócz miłości. Odwiecznem i nieznikomem świadectwem miłości Poego ku swej teściowej jest sonet jego: »Do mojej matki«. »A miłość jego dla żony«, powiada przyjaciel jego Graham, »była rodzajem entuzyastycznego ubóstwienia przeduchowionej piękności, która więdła przed jego oczyma. Była chora, to krążył koło niej gnany głębokim niepokojem gdyby matka, którą dręczy trwoga o życie pierworodnego dziecka — zu najlżejszem jej kaszlem dreszcz przebiegał po całem jego ciele, dreszcz serca, który wyraziście ujawniał się na zewnątrz. Pewnego wieczora letniego wyjechałem z nimi, a wspomnienie czujnych jego oczu, które trwożliwie chwytały najlżejszą zmianę w ukochanej twarzy, prześladuje mnie gdyby wspomnienie ponurego śpiewu. To nieustannie dręczące go uczucie, że musi ją stracić, zmieniło go zupełnie: stał się ponurym, zamyślonym człowiekiem, a poezye jego nieśmiertelne zawsze dźwięczały bolesną melodyą. A z drugiej strony obie kobiety ubóstwiały to wielkie dziecko, które tak mało obyte było z światem, chodziły koło niego i pieściły go, jak gdyby obie były jego matką. »Pewnego dnia«, opowiada Baudelaire w swojem studyum o Poem, »do kantoru Willisa weszła kobieta stara, łagodna, poważna. Była to pani Clemm. Szukała zajęcia dla swego ukochanego Edgara«. Biograf powiada, że był do głębi wzruszony nietylko jej słowami pełnemi zapału i uwielbienia dla talentu zięcia, ale całą jej powierzchownością — jej łagodnym, smutnym głosem, całą jej istotą nieco staromodną, ale delikatną i szlachetną. »I przez długie lata, dodaje tensam biograf, widzieliśmy tę niezmordowaną służebnicę geniuszu, która w ubogim i wyszarzałym stroju chodziła od redakcyi do redakcyi i sprzedawała poezye albo artykuł, często objaśniając redaktorów, że on jest chory; było to jedynem wyjaśnieniem, jedynem usprawiedliwieniem, kiedy zięć jej przechodził jednę z owych faz niepłodności, którą tak dobrze znają poeci nerwowi — i nigdy nie usłyszeliśmy od niej słówka, któreby wyrażało zniecierpliwienie, wątpliwość, albo zmniejszoną ufność w geniusz i dobrą wolę jej ulubieńca.

Mała rodzina prawie zawsze była gotowa do wyjazdu, bo niespokojna natura pana domu uniemożliwiała dłuższy pobyt na temsamem miejscu. Podczas następnych dziesięciu lat Poe zajęty był już przy jednem, już przy drugiem przedsiębiorstwie literackiem w Richmond, w Nowym Yorku lub w Filadelfii. Gdziekolwiek się pojawił, złoto sypało się czasopismom, jakby wygrzebane skądś magicznem jego piórem, ale on sam zawsze był ubogi, tak ubogi, że ciągle musiał się sprzedawać na warunkach literackiego wyrobnika. I gdziekolwiek się zjawił, odrazu roiło się od nieprzyjaciół, — od tych nieznanych, niewidzialnych nieprzyjaciół, od tych pasorzytów literackich, miernot plebejskich, dusz kramarskich i reklamowych, których biczował rózgą swego dowcipu i maczugą swego gniewu. Poe nadto był arystokratą i nadto prawdziwym artystą, ażeby wchodzić w kompromisy lub uwzględniać praktyczne interesa. »Literatura była mu religią«, powiada Graham, »a on, jej arcykapłan, skorpionami wypędzał kupczyków z świątyni«. Te małostkowe, drobne dusze były rozgoryczone, ale małostkowe dusze po wsze czasy były rozgoryczone; stawiano pułapki szczęściu jego rodzinnemu, pułapki jego opinii. Żona jego, złożona chorobą, otrzymywała anonimowe listy, zawierające ohydne potwarze na jej męża, listy, które tylko śmierć jej przyśpieszyły; a kiedy i on sam umarł i przestał temsamem zawadzać, wtedy jeden z tego tłumu spiesznie zaczął kalać pamięć jego całym tym brudem, który w oczach świata jeszcze dotychczas, albo przynajmniej do niedawna na nim spoczywał.

W lecie roku 1846 wyjechał Poe ze swoją rodziną na wieś: zamieszkał w małej willi we Fordham, w okolicach Nowego Yorku. Pragnął, ażeby żona jego mogła tam w spokoju umrzeć. Jeden z jego przyjaciół — poetów — nie wiem który — pozostawił opis pożycia w Fordham, opis tak pełny ponurej boleści, że nie mogę go tu pominąć. O pierwszych swoich odwiedzinach pisze, co następuje:

»Odszukaliśmy jego, żonę i matkę jego żony, która była także jego ciotką, w małej willi, położonej na wzgórzu. Naokoło domu rozpościerał się płat trawy, gładkiej jak aksamit, czystej jak kobierzec. Na podwórzu rosło kilka wielkich, odwiecznych wiśni, które gęsty cień rzucały dookoła.

Przy tej sposobności przedstawiono mnie młodej kobiecie i teściowej poety, która miała już przeszło 60 lat. Była to dość wysoka, czcigodna kobieta o postawie damy światowej, a czarna jej suknia, jakkolwiek stara i zszarzała, leżała na niej z prawdziwą elegancyą. Żona Poego zdawała się bardzo młodą; miała wielkie, czarne oczy, a płeć jej twarzy lśniła się perłową bladością. Blada jej twarz, jej promienne oczy i kruczo czarne włosy otaczały ją dziwną atmosferą, wśród której zdawała się nieziemską jakąś istotą, wyswobodzoną niemal duszą, a kiedy kaszlała, to widać było, że niedługo na ziemi zabawi. Matka sprawiała wrażenie zdrowej, silnej kobiety i zdała się niby opatrznością dwojga swych dziwnych dzieci.

Willa miała na sobie piętno subtelnego, wytworwego smaku; tylko ci nowi mieszkańcy mogli ją tak przyozdobić. Nigdy nie widziałem mieszkania tak ubogo przybranego, a przecież przejmującego dziwnem ciepłem. Całe umeblowanie pokoju mieszkalnego składało się z czterech krzeseł, stolika i szafy na książki. Ładne egzemplarze z dedykacyą zapełniały drobne półki, a dzieła Browninga zajmowały pierwsze miejsce. Z uczuciem cichego tryumfu wyciągnął Poe z kieszeni list, który niedawno otrzymał od Elżbiety Barret-Browning. List był bardzo pochlebny: Poemat Poego »Kruk« wywołał w Anglii prawdziwy paroxyzm trwogi i przerażenia... Poe był zresztą podówczas bardzo przygnębiony. Ostateczna nędza, choroba żony i własna jego niezdolność do pisania były dostatecznymi powodami... Błądziliśmy po lasach i spędziliśmy kilka prawdziwie przyjemnych chwil, aż ktoś zaproponował wyścigi. Zdaje mi się, że pomysł wyszedł od samego Poego, który był bardzo wprawnym w tym sporcie. Kilku panów zgodziło się na propozycyę, ale Poe wszystkich wyprzedził. Niestety jednak obuwie jego, już dawno podarte, poszło w tej gonitwie w kawały... Byłem przekonany, że Poe nie ma w ogóle innego obuwia... a gdyby nawet który z nas miał przy sobie pieniądze, to czyżby się odważył ofiarować je poecie?«

Ingram, z którego biografii Poego wyjmuję ten cytat, opowiada, że ów poeta zaprzyjaźnił się potem z Poem i nieraz zajeżdżał do Fordham. Oto, co pisze o tych odwiedzinach: »Nadeszła jesień, a pani Poe szybko poczęła niknąć; odwiedziłem ją w jej pokoju. Wszystko tam było tak ciepłe, tak miłe, ale także tak ubogie! Nie było w tym pokoju niczego prócz najniezbędniejszych rzeczy... Na łóżku, wypchanem słomą znajdowała się tylko prosta pościel i śnieżno-biała kołdra. Na dworze było zimno, a chora wstrząsała się owym strasznym dreszczem, który nieodłączony jest od suchotniczej

gorączki. Leżała na tem łożu, owinięta płaszczem męża, a na kolanach jej spoczywał wielki kot. Dziwaczne zwierzę jakby wiedziało, do czego służy; płaszcz i kot były jedynymi środkami, którymi chora ogrzewała się w chwilach, w których mąż nie ogrzewał jej rąk, a matka nóg. Pani Clemm kochała swą córkę namiętnie i strasznym był widok jej bólu z powodu tej choroby, nędzy i ubóstwa.

W ciemny, grozą przejmujący dzień styczniowy wyniesiono zwłoki młodej kobiety z Fordham, a Poe pozostał samotny z matką ukochanej zmarłej. Popadł w bolesną bezwładność. Błąkał się bez celu w okolicach, a dusza jego stokroć samotniejsza była od tych lasów, w których błądził godzinami całemi, nie spotykając żywej duszy. Ulubionem jego miejscem był szczyt porosłej sosnami skały, z której miał rozległy widok na całą okolicę. »Tu«, mówiła pani Whitman, »siedział najchętniej w długie, skwarne dni letnie, i w samotne, roziskrzone gwiazdami noce, i snuł swoje potężne sny na jawie.« Dusza jego przepełniała się nastrojem nocy księżycowych i atmosferą cmentarną, wizyami szkieletów, pełnych grozy i rozkoszą melancholii. I stworzył »Ulalume«.

„It was in the lonesome October
Of my most immemorial year.“

W tej samotni bez odźwięku ni głosu, w ciszy tak rozległej, że zdawało się, jakby przyroda dech zaparła w swej wielkiej piersi, w nieskończoności duszy tak wielkiej, że wyraz przestrzeń tracił wszelkie znaczenie, a czas niby drobna, lśniąca iskierka zwisał wysoko ponad jego głową — krążyła myśl jego intuitywna, wolna od ciała i ziemi, ponad oceanem wszechświata gdyby olbrzymi ptak fantastyczny, który po długim locie wracał na ramię swego pana, niosąc ze sobą cudowny kwiat tajemnicy świata, kwiat, który wytrysnął wspaniałym kielichem w kosmogonicznej fantazyi Poego: »Eureka«.

Ale czas kończyć. W lecie roku 1840 zatrzymał się Poe w Richmond. »Dnia 4 października«, opowiada Ingram, »wyjechał z Richmond, prawdopodobnie, żeby pojechać do Fordham i zabrać panią Clemm. Przed wyjazdem uskarżał się na niemoc, dreszcze i osłabienie, postanowił jednak pojechać. Wyszedł z pociągu w Baltimore i w kilka godzin później znaleziono go bezprzytomnym na ulicy. Nikt na pewne nie wie, gdzie zachorował, a wszystkie te opowieści, które krążyły o ostatnich jego chwilach, są czystym wymysłem. Już prawie nie żył, kiedy go znaleziono. Jako obcego odwieziono go do szpitala, gdzie umarł na zapalenie mózgu dnia 7 października; prawdopodobnie nie odzyskał już wcale świadomości. Następnego dnia pochowano go na cmentarzu kościoła westminsterskiego u boku jego dziadka, generała Poe. Żaden kamień nie oznacza miejsca, na którem spoczywa.«

Ale nieszczęście tego człowieka nie skończyło się z jego śmiercią. Póki żył, nieprzyjaciele jego zatruwali mu życie; teraz, gdy umarł, tylko w jeden sposób można go było zaczepić: poczęto kalać jego pamięć. Nie szczędzono żadnych trudów ni środków. W naiwnej swojej łatwowierności powierzył Poe literacki swój spadek człowiekowi, któremu ufał, a który z przyczyn literackich i osobistych śmiertelnie Poego nienawidził. Człowiek ten — imię jego Griswold — napisał biografię zmarłego i umyślnie sfałszował w niej fakta, ażeby przedstawić Poego jako moralnego nędznika. Haniebny artykuł przyjęła prasa amerykańska z powszechnem oburzeniem; ale stanowczo zbił twierdzenia tego pamfletu dopiero Ingram, który w życiorysie, poprzedzającym jego wydanie dzieł Poego, słowo po słowie osłabia i niweczy zdania Griswolda; i udało mu się zupełnie to, co przedsięwziął.

W ojczyźnie zatem imię Poego jest czyste. W Europie jednak niezawodnie jeszcze krąży wśród wielkiego tłumu fałszywa opinia, wywołana oskarżeniami Griswolda, który utrzymywał, że Poe był niepoprawnym alkoholikiem i że umarł na *delirium tremens*. Że Poe szukał czasem w alkoholu ucieczki przed nadmiarem strasznych zrządzeń losu — o tem on sam mówi wyraźnie. Ale to nie był brutalny nałóg, który go pchał do alkoholu, ani też straszna predyspozycya dypsomana, lub nieprzezwyciężony, chorobliwy popęd.

»Prawda, że czasem do szaleństwa odurzam się alkoholem, ale nie odczuwam w tem żadnej roskoszy«, pisał Poe krótko przed śmiercią do przyjaciela. »Nie za rozkoszą gonię w owych chwilach, w których narażam na szwank i życie i sławę i rozum. Było to u mnie zawsze rozpaczliwą próbą ucieczki przed wspomnieniami chytrości, niesprawiedliwości i niegodziwości: — chciałem uciec przed straszną samotnością i przed uczuciem trwogi, która ukazywała mi w duszy jakieś nieokreślone, bliskie nieszczęście.« Oto wyjaśnienie i przyczyna, dla której Poe szukał pocieszenia w alkoholu. I zarazem usprawiedliwienie, jeżeli go kto zapragnie. Ale czytając liczne świadectwa, osób, które dobrze znały Poego, jego życie i zwyczaje, — świadectwa, które opowiadają, jak jedna jedyna szklaneczka, kilka nawet kropel wystarczyło, ażeby zbudzić w jego duszy straszną marę obłąkania, która zawsze w nim drzemała, — czytając te świadectwa czuje się głęboką nienawiść i gorycz dla tłumu, który obrzuca kamieniem i imię uczciwego człowieka i dobrą sławę niezrównanego geniusza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

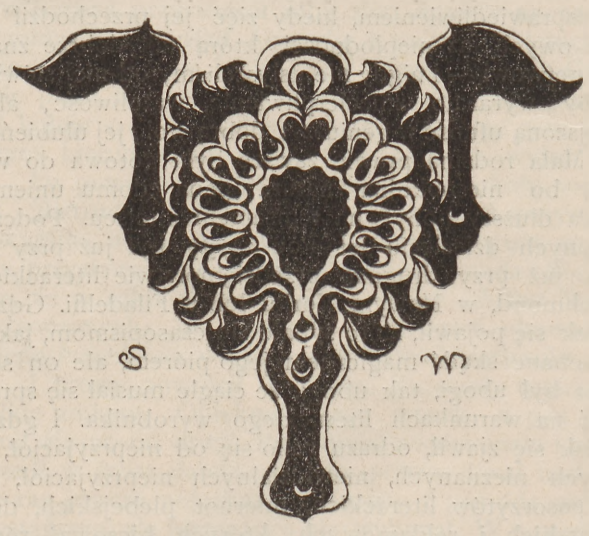

PORTRET: [ANTONI KAMIŃSKI, ARTYSTA DRAMATYCZNY]. JÓZEF MEHOFFER.

FR. NIETRSCHE: Z »ALSO SPRACH ZARATHUSTRA«.

O DRODZE TWÓRCY.

Pragniesz-li, bracie mój, do samotności się udać? Chcesz-li drogę do samego siebie znaleźć? Zwlekaj chwilę jeszcze a posłuchaj mnie.

Kto szuka, łatwo sam się gubi. »Wszelkie odludztwo grzechem jest!« tak mówi trzoda. A ty długo do trzody należałeś.

Głos trzody w tobie jeszcze brzmieć będzie. A kiedy powiesz: »Nie mam już jednakiego z wami sumienia!« skarga to będzie i boleścią.

Oto boleść tę porodziło jednakie sumienie; a odbłysk ostatni sumienia jednolitości w smutku twym się żarzy.

Ale chcesz-że iść drogą smutku twego, która to droga do ciebie prowadzi? Wskaż-że mi tedy prawo i siłę twoją ku temu.

Jest-żeś nową siłą i prawem nowem; ruchem najpierwszym, kołem z siebie się toczącem? Możeszli gwiazdy zmusić, aby wkoło ciebie krążyły?

Ach, tyle jest pożądliwości do wyżyn, tyle podrygów ambitnych! Pokaż mi, żeś ani z pożądliwych, ani z ambitnych.

Ach, tyle jest myśli głębokich A nie czynią więcej niźli miech. Nadymają i więcej pustym robią!

Wolnym się zowiesz? Chcę usłyszeć myśl twą rozkazującą, a nie ucieczkę twoją z pod jarzma.

Jesteś-że takim, co prawo miał z pod jarzma uciekać? Niejeden ostatnią wartość swą utracił, skoro służbę swą rzucił.

Wolny od czego? Cóż to obchodzi Zaratustrę. Ale niech oko twe jasno mi powie: wolny od czego?

Możesz-li sam sobie zło i dobro własne tworzyć, a wolę twoją jak prawa tablicę nad sobą zawiesić? Możesz-li samemu sobie sędzią być i praw tych mścicielem?

Strasznem jest sam na sam z sędzią i mścicielem praw własnych. Tak wyrzuconą bywa gwiazda w przestrzeń pustą i w lodowe tchnienie samotności.

Dziś jeszcze cierpisz nad wszystkimi, ty jedyny; dziś jeszcze masz całe męstwo twoje i nadzieję twoją.

Ale z czasem zmęczy cię samotność twoja; z czasem zegnie się duma twoja, trzeszczeć będzie odwaga. Wołać kiedyś będziesz: »samotny jestem!«

Z czasem wyżyn twoich widzieć nie będziesz, a niziny za blisko. Wyniosłość twoja przestraszać cię będzie jak upiór. Krzyczeć z czasem będziesz: »wszystko jest fałszem!«

Są uczucia, co chcą zabijać samotnika; a skoro im się nie uda — same umierać muszą. Ale czyliż potrafisz być mordercą?

Znasz-li bracie mój, pogardę i wysiłek prawości twojej, aby sprawiedliwym być dla tych, co tobą pogardzają?

Wielu zmuszasz do zastanawiania nad tobą; surowo ci to policzą. Bliskoś do nich podszedł, a minąłeś ich; nigdy ci tego nie przebaczą.

Wyszedłeś nad ich poziom, ale im wyżej się wspinasz, tem mniejszym widzi cię zazdrości oko. A najwięcej nienawidzą fruwających.

»Jakżebyście mogli względem mnie być sprawiedliwi«, tak nam powiadać — niesprawiedliwość waszą wybrałem sobie jako część przynależną.«

Niesprawiedliwością i błotem rzucają w samotnika; ale bracie mój, jeżeli gwiazdą być pragniesz, niemniej im przeto świecić powinieneś.

A strzeż się dobrych i prawych! Chętnie krzyżują ytch, co własną cnotę sobie wynaleźli. Nienawidzą samotników.

Strzeż się świętej mierności. Wszystko dla niej nie święte, co nie mierne; bawią się chętnie ogniem — stosów.

Strzeż się napadów miłości twojej! Zaprędko wyciąga rękę samotnik do każdego, kogo spotyka.

Ludziom niektórym podawać masz nie rękę, lecz łapę, a żądam przytem, aby łapa twa pazury miała.

Ale najgorszym wrogiem, jakiego spotkać możesz, zawsze sam dla siebie będziesz; sam na siebie czatujesz po jaskiniach i borach.

Samotniku, drogą do samego siebie stąpam, a droga ta mimo ciebie przechodzi, mimo ciebie i siedmiu djabłów twoich.

Kacerzem sobie będziesz i czarownicą, i wróżbiarzem i głupcem i zwątpiałym i potępionym i złoczyńcą.

Masz żądać spalenia twego ja we własnych ogniach twoich. Jakże się nowym stać możesz, pókiś popiołem nie został!

Samotniku idziesz drogą tworzących. Boga chcesz sobie stworzyć z siedmiu djabłów twoich.

Samotniku, drogą miłującego idziesz, samego siebie miłujesz i pogardzasz sobą tak, jak tylko miłujący pogardzają.

Tworzyć chcesz miłujący, albowiem pogardzasz!

Cóż taki wie o miłości, kto nie pogardzał tem właśnie, co najwięcej ukochał.

Z miłością twoją i twórczością idź, bracie mój w samotność, a sprawiedliwość późno się za tobą dowlecze.

Ze łzami memi idź w samotność twoją, bracie mój. Kocham tego, co nad poziom swój tworzyć pragnie i tak przepada.

Tak rzekł Zarathustra.

SIEDM PIECZĘCI [ALBO PIEŚŃ O TAK I AMEN].

Jeżeli jasnowidzący jestem i ducha wieszczego pełny, który nad dwoma morzami po tęczy przechodzi, wędrując jako chmura ciężka między przeszłością a przyszłością. Nizinom stęchłym wrogi i wszystkiemu znużeniu, co żyć, ani umrzeć nie potrafi.

Na pogotowiu grom trzymając w piersi ciemnej i światłości promieni odkupienia; błyskawicami brzemienny, które Tak mówią, Tak ze śmiechem mówią; do wiecznych błyskawic gotowy.

— Błogosławiony taki brzemienny! Zaiste długo ten musi jako czarna chmura nad głowami wisieć, kto przyszłości światłość ma zapalać.

O jakżebym mógł nie pożądać wieczności i ślubnego pierścienia nad pierścienie, powrotu pierścienia

Nigdym jeszcze nie spotkał kobiety, z którąbym dzieci mieć pragnął, chyba tę ukochaną: albowiem ciebie kocham, wieczności!

Albowiem ciebie kocham, wieczności.

Jeżeli gniew mój otwierał groby, kamienie graniczne przenosił i zdruzgotane stare praw tablice w przepaście ciskał;

jeżeli szyderstwo moje rozwiewało słowa zbutwiałe, jeżeli byłem dla pająków miotłą i wichrem dla zatęchłych grobowców;

jeżeli radosny siadywałem tam, kędy pogrzebane bogi dawne leżą, błogosławiąc światu, miłując świat obok pomników świata zaprzańców;

albowiem kościoły nawet i bogów cmentarze lubię kiedy czyste oko nieba przez dach ich dziurawy przegląda, albowiem siadywam chętnie jak maki krasne albo trawa na kościołów gruzach.

O jakżebym mógł nie pożądać Cię wieczności

i ślubnego pierścienia nad pierścienie — powrotu pierścienia.

Nigdym nie spotkał jeszcze kobiety, z którą bym dzieci mieć pragnął, prócz tej ukochanej: albowiem kocham Cię, wieczności.

Albowiem Ciebie kocham wieczności.

Jeżeli kiedy powiew na mnie spłynął tchu twórczego i niebiańskiej konieczności, która nawet wypadki do siebie nagina i gwiazd tumanom tańczyć rozkazuje.

jeżeli śmiałem się kiedy śmiechem błyskawicy twórczej, po której czynu grzmot następuje,posłuszny, chociaż zagniewany.

jeżeli kiedy z bogami w kości grałem przy stole bogów, aż drżała ziemia i pękała i ognistemi buchała rzekami;

— albowiem boskim stołem jest ziemia i drży przy nowych słowach twórczych i przy nutach bogów —

Jakżebym mógł nie pragnąć Cię wieczności i pierścienia ślubnego nad pierścienie — powrotu pierścienia.

Nie spotkałem nigdy jeszcze kobiety, z którejbym dzieci mieć pragnął, chyba tę, którą kocham, bo kocham Ciebie wieczności. O tak, kocham Cię wieczności

---

Jeżeli kiedy piłem chciwemi usty z puharu pieniącego się tęgim napojem, w którym wszystkie soki są zmięszane,

jeżeli ręka moja spajała kiedy najdalsze z najbliższem, z duchem ogień, z boleścią roskosz i dobroć z podłością,

jeżeli sam szczyptą zbawiennej soli jestem, co sprawia, że wszelkie soki w puharze pieniącym dobrze się łączą,

albowiem jest sól, co dobro i zło jednoczy; i najgorsza rzecz godna jest tęgości i piany.

O jakżebym mógł nie pożądać Cię wieczności i ślubnego pierścienia nad pierścieniami, powrotu pierścienia.

Nigdy jeszcze nie spotkałem kobiety, z której dziecięciabym pragnął, prócz tej, którą kocham, bo Ciebie kocham wieczności. Tak, ciebie kocham wieczności.

Jeżeli morze lubiłem i wszystko co jest jako morze, szczególniej kiedy gniewnie opór mi stawia,

jeżeli we mnie tkwi żądza szukania, co żagle myśli moich ku nieznanym brzegom pędzi, jeżeli pożądliwość moja ma żeglarza zachcianki,

jeżeli duch mój woływał radośnie: oto brzeg z oczu znika, pęka łańcuch ostatni,

bezbrzeżność wokoło mnie kipi; hen w oddali przestrzeń i czas błyszczą, naprzód duchu niespożyty!

Jakżebym mógł nie pożądać Cię wieczności i ślubnego pierścienia nad pierścienie. Powrotu pierścienia.

Nie spotkałem dotąd kobiety, z którąbym dziecko mieć pragnął, chyba tę jedyną, albowiem kocham Cię wieczności. Kocham Cię wieczności.

Jeżeli cnota moja jest tancerza cnotą, jeżelim często obiema nogami skakał w złociste zachwytu szmaragdy,

jeżeli złośliwość moja uśmiechniętą złośliwością była, ukrytą między krzewy różane, lilie pnące,

albowiem w uśmiechu wszelkie zło się styka, ale uświęcone i własnem odkupione szczęściem,

jeżeli to jest alphą i omegą moją, że lekkiem stało się wszystko ciężkie, a ciało wszelkie tancerzem, a ptakiem każdy duch — i zaprawdę to jest alphą i omegą moją.

Jakżebym mógł nie pragnąć Cię wieczności i ślubnego pierścienia nad pierścienie, pierścienia powrotu.

Nigdy jeszcze nie spotykałem niewiasty, z której chciałbym mieć dziecko, chyba tę ukochaną, bo kocham Cię wieczności, kocham Cię wieczności.

Jeżelim kiedy niebo ciche nad sobą roztoczył i na własnych skrzydłach we własne niebo uleciał,

jeżelim pływał, igrając w odległych światła przestworach i mądrość — ptak wolności mojej, do mnie się zbliżył.

a tak przemawia mądrość-ptak: Patrz, oto niema góry ni dołu. Rzuć się w przestrzeń, w dal, w tył, ty lekki. Śpiewaj. Nie pora mówić.

czyliż słowo każde nie stworzone dla ciężkich, czyli słowa wszelkie nie kłamią lekkiemu. Śpiewaj, przestań mówić!

O jakżebym nie miał pragnąć Cię wieczności i pierścienia ślubnego nad pierścienie, powrotu pierścienia.

Nigdym jeszcze nie spotkał niewiasty, z którąbym chciał mieć potomstwo, chyba tę, którą kocham, albowiem Ciebie kocham wieczności. Ciebie kocham.

WRÓG BOGÓW.

W SPOKOJNYM DOMKU SIEDZI — SWÓJ CHLEB SUCHY ZJADA,
MIESZA W TYGLACH, OBLICZA I PLANY UKŁADA...

PONAD NIM WYJĄ BURZE, SZALEJĄ WICHURY,
KŁĘBIĄ SIĘ NAWAŁNICE, OWISAJĄ CHMURY;
ROZPACZ WSZECHŚWIATA PĘDZI — GROŹBY, SKARGI NIESIE,
GMACHY WALI I DĘBY DRUZGOCZE PO LESIE — —

ON W SWOIM CICHYM DOMKU, NAKRYTYM POWAŁĄ,
CO NOC DO SNU UKŁADA GŁOWĘ OSIWIAŁĄ...

ZA ŚCIANĄ TŁUM SIĘ CIŚNIE... WALCZY, WRE I SPĘDZA:
WŚCIEKŁYCH SPAJA ZAWZIĘTOŚĆ I ROZDZIELA NĘDZA...
WSZYSCY GNAJĄ W KRAINĘ NIEZNANĄ... PO SZCZĘŚCIE,
KU NIEBU, GWIAZDOM, SŁOŃCOM WYCIĄGAJĄC PIĘŚCIE —

ON SPOKOJNY PRZY OKNIE — SWÓJ CHLEB SUCHY ZJADA,
MIESZA W TYGLACH I SŁOŃCE SIWEM OKIEM BADA...

I DZIWI. WSZECHWŁADNE SŁOŃCE, ŚWIATŁO WIECZNYCH LODÓW
DLA GINĄCYCH I GINĄĆ MAJĄCYCH NARODÓW —
ZIMNE NA ŁZY I KLĄTWY — BOJAŹLIWEM DRŻENIEM
ZADRGA, GDY SIWE OCZY NAPOTKA PROMIENIEM...

Wł. Orkan.

POŻEGNANIE.

— BĄDŹ ZDROWA! (JAK DZIWNIE BRZMI
[DZWON...)
— BĄDŹ ZDROWA! (LECĄ LIŚCIE Z DRZEWA...)
— BĄDŹ ZDROWA! (MIŁOŚĆ JEST JAK ZGON...)
— BĄDŹ ZDROWA! (WIATR ZŁOWROGO
ŚPIEWA...)

»JUŻ NIGDY!...« — RWIE SERCE TWÓJ PŁACZ!
»WYMKNĄŁ SIĘ Z PIERSI NIESPODZIANIE.
»ŻEGNAM CIĘ — TRZEBA! I TY BOŻE RACZ —
»LITOŚCI!...
— W KONIE!... CHRYSTE PANIE!

Tadeusz Miciński.

Upraszamy o odnowienie prenumeraty, celem uregulowania nakładu.

PRZEGLĄD PRZEGLĄDÓW.

Nie mają młode Czechy wiele wybitnych talentów malarskich i rzeźbiarskich. Druga wystawa spółki »Manes«, czytamy w »Moderne Revue«, nie dała nic nowego. Ci młodzi, którzy wystawili obrazy lub rzeźby, to właściwie odłam jakiś starych, grupa, która zawsze będzie istnieć i odtwarzać konwencyonalny świat rzeczy, która zawsze rozporządzać będzie pewną sumą technicznej wiedzy, zdobytej na akademiach, i która przy pomocy tej wiedzy zawsze będzie »robić« rzeczy »o bardzo dojrzałej technice« i zawsze będzie »panować nad materyałem«, ale w tem wszystkiem zbraknie »ducha twórczego, młodego tchu, woni świeżych sił, strumienia kipiących, bujnych, nieokiełznanych soków«. I wśród tego najzupełniejszego braku wszelkiej oryginalności ujawnia się z tem większą wyrazistością postać Franciszka Bilka (»Życie« podało dawniej reprodukcyę jego: »Chrystusa«). Bilek, to jeden z tych artystów z łaski Bożej, którzy intuitywnie przenikają cały ogrom świata duszy i odtwarzają go z nadzwyczajną siłą. »Oto wielka głowa Chrystusa: jest to wielki ból, co sam siebie przekonał, co wyszedł już z siebie, bo objął sobą niezmierną żałość tego padołu płaczu, to odwieczny ból, który wie, że jest niezniszczalny, który wie, że ofiara jego odnawiać się musi nieprzerwanie, nieustannie każdego dnia. A oto druga postać: jestto znękane, wychudłe ciało, wlokące się po kamienistej, bezpłodnej, nieczułej glebie, chwytające się ziemi, jakby chciało się z nią spłynąć, jakby chciało wrócić do łona, z którego wyszło, aby zapłodnić ostatkiem swych sił ten bezżywotny ugor, który ma wydać wielkie, tajemnicze płody, wiodące ku wiecznej bytności, to »Arka« dla duszy błądzącej w ciemnościach, dla serca zamierającego w skwarach daremnej tęsknoty, dla myśli błąkającej się po falistych, dusznych mgłach niepewności. I z tej pracy wyrośnie dla nich wielkie drzewo nowego, wyższego życia. Bilek jest szczególnym wyjątkiem w rzeźbie czeskiej, malarstwo czeka jeszcze ciągle na takie zwycięskie objaawienie«.

Dla tychsamych tęsknot i pragnień, dla tegosamego poglądu na życie inny artysta znalazł dziwny wyraz w karykaturze. Jako karykaturzysta w wielkim stylu przedstawia p. Hermann w »Nowym kulcie« T. Th. Heinego, od którego rozpoczyna się w Niemczech nowa era illustracyi i karykatury. Nowożytna karykatura silnie przesiąkła wpływem japońskim, nabrała także wskutek tego charakteru dekoratywnego. Ze względu na treść była dotychczas albo sytuacyjną komiką, albo cichym, łagodnym uśmiechem; karykatura Heinego z innych wyszła pobudek, szerszy objęła krąg życia i jest ona gorzką krytyką form jego, przedstawioną »przezacnej publiczności«, z uśmiechem na ustach. Ale po za tym uśmiechem jawią się gdyby wstrzymywane łzy nad całą tą nędzą i fałszem, którą odzwierciedla karykatura; dźwięczy tam jasny ton tęsknoty za światem czystych form. Postaci, które stworzył Heine, są zawsze maską, ukrywającą złośliwą satyrę polityczną, społeczną lub seksualną. Nikogo nie szczędzi, nawet siebie samego umieszcza na karykaturach i wszystko okrywa swoim śmiechem. »Obrazy z rodzinnego życia« są gryzącym epigramatem na pogodnego filistra i nieświadomą jego gruboskórność, i na tę całą »trzodę zbiedzoną i rozpitą«. Seksualna jego satyra nie wyszła z płaskiego cynizmu, lecz z głęboko pessymistycznego na świat poglądu, który nie zna harmonii między światem rzeczywistości a światem ducha. Najlepszym wyrazem tego poglądu i kluczem do poznania indywidualności Heinego jest karykatura o »Synu marnotrawnym«. Oto dwoje starych siedzi we wigilię przy stole i modli się gorąco o nawrócenie syna. I nagle syn ten wchodzi niepostrzeżenie — obdarty, wycieńczony, brudny, pijany — gdyby wcielenie wszelkiego włóczęgostwa — a za rękę wiedzie go biała świetlana postać anioła i nieskończenie smutnie nań spogląda. — Przy tem wszystkiem Heine ma wielkie poczucie stylu, szczególnie tam, gdzie odtwarza postacie i sytuacye z epoki *rococo* albo *empire*, których używa do karykatury politycznej.

W tymsamym »Nowym kulcie« entuzyastyczny artykuł o Stefanie Malarmé, o którym, jak powiada A. Procházka, redaktor »Moderne Revue«, można pisać albo hymny o jedynem, niepodzielnem Pięknie, albo też kontrowersę o wszystkich kwestyach estetycznych i o tym trudnym problemie objętym w dwóch słowach: Sztuka i Życie. Arnost Procházka obiera mniej jałową, ale i łatwiejszą i piękniejszą drogę hymnu i odtwarza tę postać wielkiego Syntetyka, który w najdrobniejszem zjawisku szukał nie ginącej, wiecznej istoty. Z jego poezyi, unoszącej się wysoko ponad życiem codziennem, obrazy, słowa, rytmy nie odtwarzają tego, co było wczoraj, co będzie jutro, ale co zawsze jest wieczne. Mallarmé odtwarza w swojej poezyi duszę oszołomioną tajemnicą istnienia, wieczną zagadką ludzkiego bytu, nieznikomem pięknem i nieukojoną, wiecznie żywą i wiecznie rozjątrzaną tęsknotą za nieskończonością, którą chce objąć, przeniknąć. Poezyę tę trzeba brać taksamo poważnie, jak życie. Dla Mallarmé'go jest ona życiem, bo w niej głęboko filozoficzny i spekulatywny duch, dręczony grozą problemów życia ludzkiego, szuka absolutnego bytu i objawia dziwne, inne światy. W poezyi tej słowa i rytmy nie mają znaczenia same przez się, lecz przez suggestye, które wywołują. »La Tombeau d'Edgar Poë«, albo »de Paul Verlaine«, to olbrzymie wizye, w których dusza w najwyższej ekstazie ujrzała całe pogmatwanie losów ludzkich, całą tragedyę wielkiego życia i jego tułaczkę i zamieć i wieczność i doczesność. Są to jakby tablice, na których Fatum wypisało odwieczne swe objawienia, przystępne tylko dla powołanych, małej i rozprószonej garstki, dla której sztuka jest religią. Oddać się tej sztuce, znaczy być księciem i magiem równocześnie, znaczy być osamotnionym i jak w średnich wiekach być oddanym Szatanowi poznania i piękna, kroczyć po ziemi i ginąć w obłokach. Mallarmé nawet wswych poezyach prozą, najwięcej styczności mających z życiem codziennem, obejmuje szerokie widnokręgi wszechludzkiej tragedyi, w której czuć absolutną istotę. Kroczy on w tych poezyach obok życia, patrzy nań zdala i podaje jego syntezę.

Obok życia, zdala od gwaru i targowiska, kroczy także mała grupa poetów niemieckich, której poniekąd najwybitniejszym reprezentantem jest Stefan George. Przedstawia go we »Wiener Rundschau« p. Karol Levetzow. Należy on do tych poetów, którzy nie odkrywają nowych prawd i nie tworzą nowych dróg kulturze, lecz którzy nagromadzili w sobie skarby minionych epok i przetrawiają je w spokoju w odległych ustroniach, pełnych zacisza i spokoju. Niewiele ich jest, tych poetów, którzy zawcześnie dojrzali, a przecież nie są starzy, którzy są zawsze w pełni rozwoju, a przecież nigdy już dalej się nie rozwiną — są zawsze młodzi. Są oni zbieraczami przeszłości, która jeszcze raz w nich zakwili, a potem zniknie na zawsze. Są jakby syntezą wszelkiej przeszłości. Każdy z nich jest odosobnioną wysepką, niknącą w oddali. Wydają się nagłem zajaśnieniem na horyzoncie, są jakby światłem, które nie rozjaśnia ciemni naszego życia, przebłyska i mknie dalej. Są jakby znakami z innych sfer, które nie zdołają oderwać nas od naszej pracy. Takim poetą jest także Stefan George, który obok wielu drobnostkowych, niepotrzebnych, zewnętrznych »innowacyj i reform« (n. p. w pisowni), ma także wiele pięknych rzeczy, i te warto poznać. L.

KRONIKA.

Jerzy Rodenbach. Umarł Jerzy Rodenbach, poeta pełen ciszy i uroczystego milczenia, wśród którego ponurym dźwiękiem odzywa się lamentujący śpiew beguinów w podziemnych korytarzach klasztornych. Poezye jego, przesycone ogromem kultury, odtwarzają najtajniejsze drgnienia duszy holenderskiej, która w bezgranicznej swojej tęsknocie ginie w niezmiernej dali i jak nieskończona równina Holandyi, pokryta śniegiem, rozpościera się w nieskończoność. Rodenbach miał szczególnie rozwinięty dar tworzenia rzadkich obrazów i odczuwania odległych analogij, które oddają duszę krajobrazu i które są gdyby cichym gestem i przytłumionym dźwiękiem wnętrza wszechrzeczy... Zmarły poeta pozostawił kilka zbiorów poezyi, między innymi: »La Jeunesse blanche«, »Tristesses«, »l'Arbre«, i ostatni zbiór »Le miroir du Ciel natal«.

»Zmrok«, obraz prof. Jana Stanisławskiego, wystawiony w pałacu wiedeńskiej Secesyi, nabyło austryackie ministerstwo oświaty za cenę 1000 złr.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Rękopisy, nie zamówione przez Redakcyę, zwracamy tylko za nadesłaniem marki na przesyłkę.

P. Edwardowi Sok. we Lwowie. Praca Pańska »Z dziedziny psychologii« nadaje się raczej do »Przeglądu Filozoficznego« niż do »Życia«. Radzimy zwrócić się z nią do tego pisma.

P. Józ. Krosiń. w Krakowie. Wiersze udatne, ale daleko im do poezyi.

P. Lud. Złocz. w Bilczy. Kotów w worku nie kupujemy. Może nam Pan jaką pracę nadeszle? Numer okazowy wysyłamy.

H. S. w Krakowie. Scherbart w ogóle nie jest olbrzymem, a w nadesłanym nam przekładzie maleje do karła. Nie zamieścimy.

Mortuus. Przepraszamy za nieporozumienie. Innych rzeczy z wiadomego cyklu drukować nie będziemy.

P. Fr. Łysak. w Krakowie. Wiersz zadziwiająco nieudolny. Nie wydrukujemy.

W. M. w Krakowie. Rzecz zupełnie słaba, bez ładu i składu.

Autorowi »Dumań na temat: Czy Jezuici zgubili Polskę?« Praca ta nie nadaje się do »Życia«. Rękopis zachowany do zwrotu.

Autorowi »Chorej duszy«. Ładne — ale nie dla nas.

P. Maryi Taidz'e. Bardzo żałujemy, że z cennej pracy Pani skorzystać nie możemy. Rękopis do zwrotu.

R. Par. w Krakowie. Pegaz Pański jest dopiero źrebcem i to z nieopierzonemi skrzydłami.

P. Piątkiewiczowi Nas tego rodzaju sprawy nic nie obchodzą. Prosimy się zwrócić do dzienników.

OD REDAKCYI.

Klisze do ilustracyj, w niniejszym numerze »Życia« zamieszczonych, wypożyczono od wiedeńskiego miesięcznika VER SACRUM, za życzliwem zezwoleniem artystów-malarzy wiedeńskiej SECESSYI.

Najbliższy numer „ŻYCIA“ ukaże się 20-ego stycznia.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca **Stanisław Wyrzykowski.** W Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego.

C

Najtań

„Słow

„LEGE

poemat dr

Stanisława W

pojawił się w ha

— w ozdobne

Abonenci Ż

dnictwem admin

„Legendę“ za cenę

FORTEPIANY Z MECHANIKĄ ANGIELSKĄ
NAJZNAKOMITSZEJ W AUSTRYI FABRYKI

Wydawnictw

Ar

ADAMA

z

Do nabyc

Skład główny w ks

Do

numery „Ż

w Adminis

VOWIE.

E.

a społecznego.

powieści. Bywają one
trzeby poważniejszego

nie

naukowe. **Popularnem**
niefachowego, ale wy-
zrozumienie *tych jej*
nienia życia rozpa-
ka. Słowem chce być

w ramy zadań naszych
awać ukwalifikowanym
uwagę na **sposób ich**
A chcemy to uczynić
zego umysłowego cha-
m dążenie do syntezy,
rozwlekłości.
echnienia naszej biblio-
powiedzieć wybrednym
kownego bądź co bądź

uwagi i życzenia,

prof. Wyższej Szkoły
Ak. wet., doc. Uniw.

współczesne w dziedzinie
społecznego

jących

u. Każdy tom stanowić

umeratę
r. 1·90)
acznie podwyższona.—
rma nakładowa.

nberga.

nne'a, pod tytułem:
etyczny rozwój współ-
sztuki stosowanej. Ale
i najoryginalniejszych,
część myśli i pragnień

ii przyrody. — Od
dziczności i zmienności
anych szkiców, niektóre

wa i państwa. (Tło-
nikiem pośród mnóstwa

owski). — Kiedy Mosso
ę ducha biurokratyzmu,
zycznej. Z tego punktu
danie znakomitego fizyo-
tartych w tej dziedzinie
ieraz z tchem zapartym,

prac na polu astronomii
pod tym tytułem zaga-
ysłu ludzkiego. Wszakże
h, kwestyą znaną u nas

lamentaryzmu.